

NA NIEDZIELE

Dodatek bezpłatny do „Dziennika Bydgoskiego“ Wychodzi co tydzień.

Nr. 48.

Bydgoszcz, niedziela 4 grudnia 1909.

Rok II.

Na niedzielę drugą Adwentu.

Lekcja.

Rzym. XV. 4—13.

Bracia, cokolwiek napisano, ku naszej nauce napisano, abyśmy przez cierpliwość i po ciechę pisma nadzieję mieli. A Bóg cierpliwości i pociechy niech wam da, abyście jednoż między sobą, rozumieli wedle Jezusa Chrystusa: abyście jednomyślnie jednymi usty czcili Boga i Ojca Pana naszego Jezusa Chrystusa. Przeto przyjmujecie jedni drugie, jako i Chrystus przyjął was ku czci Bożej: albowiem powiadam, iż Jezus Chrystus był sługą obrzezania dla prawdy Bożej, aby utwierdził obietnice ojców, Lecz poganie żeby za miłosierdzie czcili Boga, jako napisano: dla tego będąc wyznawał między pogany Panie, i będę śpiewał imieniu twemu. I znowu mówił: weselcie się poganie z ludem jego, i znowu: chwalcie Pana wszyscy poganie, a wysławiajcie go wszystkie narody. I znowu Izajasz mówi: Będzie korzeń Jessego, a który powstanie panować nad pogany, w tym poganie nadzieję pokładać będą. A Bóg nadziei niech was napelni wszelaką radością i pokojem w wierzeniu, abyście obfitali w nadziei i w mocy Ducha świętego.

Ewangelia.

Mat. XI. 1—10.

W on czas usłyszawszy Jan w więzieniu dzieła Chrystusowe, posławszy dwu z uczniów swoich, rzekł mu: Tyś jest który masz przyjść, czyli inszego czekamy? A odpowiadając Jezus rzekł im: Szedłszy odnieście Janowi coście słyszeli i widzieli: ślepi widzą, chromi chodzą, trędowaci bywają oczyszczeni, głusi słyszą, umarli zmartwychwstają, ubogim Ewangelią opowiadają. A błogosławiony jest, który się zemnie nie zgorszy. A gdy oni odeszli, począł Jezus mówić do rzesz o Janie: Coście wyszli na puszcza, widzieć? Człowieka w miękkie szaty obleczonego? Oto, którzy w miękkie szaty się obloczą w domach królewskich są. Ale coście wyszli widzieć? Proroka? Zaiste powiadam wam, i więcej niż Proroka. Boć ten jest, o którym napisano: Oto ja posyłam Anioła mego przed obliczem twojem, który zgotuje drogę twą przed tobą.

Święć się Imię Twoje.

Trzeba iść, zejść do szybu, ludzie już muszą schodzić. Ha, no!

Oskarowicz czapkę nacisnął, podszedł do stolika, wyjął z niego rewolwer i w zanadrze wsunął.

Z górnikami trzeba ostrożnie, nie wiadomo co tam spotkać może w tych zakretnych, wąskich korytarzach, ciemnych, zionących wilgocią słoną ze ścian, pokrytych zielonąwą pleśnią.

Za odłamek soli, za bryłą, za belką, często zbrodniarza mściwa ręka czyha na przejście inżyniera, który wczoraj zestrofował za zbyt krótki sznur do dynamitu, za niedbałe podparcie osuwającej się komory.

Na chwilę nie wolno okazać osłabnięcia siły, trzeba patrzeć w oczy, jak sforze buldógów, tym źle płatnym a zjedzonym od pracy ludziom i mówić ciągle ostrym, rozkazującym głosem.

Wyszedł wreszcie na dwór, zamykając drzwi na klucz. Ciemno jeszcze było zupełnie. Szaruga noena jesienna aż wyla, aż jęczała dokoła. Całe strugi wody pokrywały płaszczyzną pustą, nagą, straszną.

Oskarowicz szedł prosto, brodząc po wodzie, po błocie, z obojętnością zupełną.

Drogę znał dobrze. Cieżkie, nieprzemakalne buty chroniły mu nogi. Ręce wsadził w kieszenie kurtki i kierował się ku rynkowi. W domach błyskały światelka.

Oskarowicz wszedł wreszcie do restauracji, w której zapalono lampy i przygotowano samowar. Podłogę zalewało błoto. Oskarowicz usiadł za stołem i pił herbatę z grubej zielonej szklanki. Przed nim leżał obdarty numer przedwczorajszej Reformy. Sięgnął po niego, ale zaraz rzucił. Co go obchodzić mogło, co się działo na ziemi? Wszak jego życie skupiało się teraz pod ziemią. Dziwny zbieg okoliczności! Za życia musi się przyzwyczaić do grobowej ciemności i mogilnej pleśni. Straszne, straszne! Zapłacił za herbatę i poszedł do szybu.

Gdy wszedł do sali, powitał go chór głosów: — Szczęść Boże!

Odmruknął niewyraźnie i zaczął pospiesznie wdziwać swój kitel i czapkę.

Gdy stanął na platformie windy, ogarnęła go nagła rozpacz. Znow do lochu, znow do

tej głębi, w której niema dla niego nic, nic, żadnego promienia, żadnego uśmiechu, żadnego światła, nie!

Obok niego na platformie cisnęli się górnicy. Byli tam trybarze, kopacze, wozaki, wszyscy pomieszani razem, odziani jednakowo w jakieś szare, przesiąkłe słoną wilgocią łachmany. Twarze mieli ziemiste, oczy zagasłe, stali w milczeniu, obojętnie patrząc na czarne ściany, po których zsuwała się wolno winda w głąb ziemi. Oskarowicz patrzył na nich z zazdrością. Ile rezygnacyi jakiejś dziwnej, zaczerpniętej nie wiadomo z jakiego źródła, mieli w sobie ci ludzie! Szczególnie ten jeden, stary, siwy trybacz o szerokich, jakby przełamanych plecach. Rezygnacya jego, rozlana na twarzy i w całej postaci, ma nawet w sobie pewną pogodę, pewną równowagę. Latarkę umieścił na piersiach, i łagodne światło oblewa mu dolną szczękę i wyprowadza na jaw pewien dobroduszny uśmiech zwiedłych warg. W rękę trzyma koszyczek, w którym widać glonkę chleba, garnuszek i jakiś długi przedmiot owinięty w brudny papier.

Platforma windy była niewielka. Górnicy stali stłoczeni jak stado bydła. Powoli owiewało ich grobowe ciepławe powietrze. Oni stali obojętni. Jeden z nich kaszlał cicho, drugi coś szeptał do sąsiada.

Oskarowicz stał na brzegu, wpatrzony w czarną masę ściany, przeciętą wiązaniem belek, które uciekały w górę, jaśniejąc na chwilę w mdłym świetle latarni i ginąc w czerni. I nagle na chwilę doznał jakiegoś ściśnienia serca. Coś się w nim zamroczyło, zaczęło rwać do światła, na powierzchnię ziemi.

Potał ręką czoło. Gestem tym potracił obok stojącego górnika.

— Przepraszam pana inżyniera! wyrzekł ten natychmiast pokornym głosem.

Oskarowicz odwrócił się i miał na ustach słowa: „To ja was przepraszam“, ale przypomniał sobie, że z nimi trzeba jak z psami, ostro, i patrzeć w oczy, bo inaczej życie może być w niebezpieczeństwie. Nie odrzekł więc nic, ale mimowoli zwrócił wzrok na twarz starego górnika. Dziesiątki lat! Oskarowicz wpatrywał się w twarz górnika i ze zdurzeniem nie dojrzał w niej ani goryczy, ani jadu, ani rozpaczliwej bezbrzeżnej. On sam, on, który na platformie tej windy zsuwał się tak dopiero od kilku miesięcy, on ma już takie dwie brózdki rozpaczliwe koło ust, a ten szmat zjedzonego pracą ciała uśmiecha się prawie dobrodusznie w świetle swej latarki! Więc co go tak podtrzymuje? Co mu dodaje siły? Musi być przecież coś... Może żona, może dzieci, może... Nie, nie. Oskarowicz już poznał domowe życie tych górników. Nędza, klątwy, życie nad stan, pijaństwo... Więc co, więc co?

Winda stanęła z szumem, loskotem.

Oskarowicz zszedł pierwszy i szybko minął próg izby windowej. Rzucił się tak codzień w ten labirynt kurytarzy, codzień z uczuciem kogoś, kogo zmuszają do skoczenia w wodę,

Nie schodził jeszcze na niższe piętra kominami za pomocą drabin. Dozorował na razie podpierania jednej z wybranych już komór, która groziła osunięciem się zupełnem.

Górnicy rozsypali się w rozmaitych kierunkach. Tu i owdzie w otchłani zaświeciły ich latarki i powoli ginęły w jakiejś czarnej mgłę, kurytarze przepelniającej. Oskarowicz szedł po oślizgłych deskach chodnika i mgłę tę zionął w siebie z jakąś rozpaczliwą wściekłością.

— Grób, grób! powtarzał prawie bezprzytomny.

Za nim szedł ktoś, szedł cicho, ostrożnie.

Oskarowicz mimowoli rękę po rewolwer skierował, ale zaraz ją cofnął.

— Co tam, niech lepiej zabije, wolę śmierć niż takie życie.

Ale gdy przeszedł kilka kurytarzy i parę komór, a ciągle po chodniku słyszał za sobą te lekkie, jakby czające się kroki, ogarnęło go tak wielkie zdenerwowanie, iż postanowił, uwolnić się od tego natręta jakimkolwiek sposobem. Przystanął nagle, odwrócił się i w idącym za nim człowieku poznał starego górnika o koszyczku pełnem jada i o dobrodusznej twarzy.

Natychmiast górnik dotknął swej czapki i wyrzekł grzecznym głosem:

— Szezęść Boże, panie inżynierze!

— Dokąd idziecie? — spytał Oskarowicz, i nie czekając na odpowiedź, usunął się z chodnika. — Idźcie naprzód! — rzucił rozkazująco.

Górnik usłuchał rozkazu, grzecznie, choć ciężko, przesunął się obok Oskarowicza i poszedł przodem, spiesząc się widocznie.

Oskarowicz szedł teraz jego śladem, i w ślad za tą schyloną roboczą postacią biegły jego myśli.

— Kret, kret! nic więcej, życie całe przeżył w tej pleśni. Ha, ha!... I to się spieszy, tak się spieszy, jakby pod tą ziemią czekała jakaś wielka radość, uśmiecha się nawet ten szalenić, uśmiecha się w tym grobie! Dokąd on iść może?

Nagle, w oddali majaczy jakiś wieniec światełek. Na czarnem tle koło złotych punkcików, a ponad nimi wyżej krwawa gwiazda. Ma to wielki tajemniczy urok zjawiska. Latarka górnika także spieszy w tym kierunku, jakby pociągana jakąś niewidzialną mocą. Oskarowicz przez chwilę zastanawia się. Co to za światła? Co to być może? Ale już przypomina sobie. To kaplica. Podziemna, wykuta w bryłach kaplica. Widział ją nieraz przechodząc, ale nie zwrócił na nią uwagi. Górnik jest już w kaplicy. I nagle, jego biedna, siwa głowa zjawia się teraz bez czapki, w aureoli owych złotych mistycznych światełek, które ją oświetlają prześlicznym, tajemniczym świetlanym blaskiem. Cała dobroć i łagodność tego starca rysuje się promiennie w tym świetlanym wieniec. Włosy jego siwe nabierają srebrnego blasku... Ciemne brózdki nikną, tylko jakaś rzewna duchowa moc i czystość w połączeniu z rezygnacją występuje w całej pełni z wy-

razu, jaki nabrały rysy i spojrzenie górnika. Oskarowicz zaczął iść bardzo cicho i gdy doszedł do wejścia kaplicy, stanął za filarem, wpatrzony w twarz górnika, który przez chwilę długą stał tak oświetlony promiennie, zjawiskowo, a wzniosłszy oczy w górę, szeptał pacierze, od których drżały płomienie światełek. Potem pochylił się ku ziemi, wyjął z koszyeczka jakiś przedmiot owinięty w papier, odwinał go, i Oskarowicz ujrzał świecę, biedną, małą, tanią świeczkę. Górnik, ciągle szepcąc pacierze, świeczkę do światełek zbliżył, zapalił, osadził na haku wbitym w rodzaj mosiężnego świecznika i oto i ona zapłonęła w kręgu mistycznych światełek u stóp krzyża. Górnik odstąpił od świecznika i stał teraz o kilka kroków od Oskarowicza, przypatrując się z widoczną radością, jak ta jego mała, tania lojówka płonęła wśród innych świeczek poprzednio już zaświeconych. Cisza panowała dokoła wielka, cisza stokroć więcej świątynna i uroczysta, niż w najwspanialszych katedrach o koronkowych, strzelistych wieżach. Ofiarne, ubogie światła płonęły w tej ciszy i ciemni cudownie i wspaniale. Oskarowicz doznał dziwnego uczucia. Czuł, że w nim całe serce męknie, że chwytają go jakieś dziecięce rozrzewnienie. Tu był Krzyż, tu, przed nim, Krzyż, początek i koniec wszystkiego. Krzyż w mistycznym wieńcu kornie u stóp jego ległych dusz, zrezygnowanych i wielkich, wielkich swą pokorą, swą wiarą, swą ufnością.

Nagle górnik go dostrzegł. Ukłonił się znów i gotował do odejścia. Ale Oskarowicz szybko, prawie bezwiednie wyrzekł pierwszy:

— Szczęść Boże!

Nie poznał swego głosu, brzmiał on miękko, serdecznie prawie. U stóp tego Krzyża brzmieć inaczej nie mógł. Górnik natychmiast odparł:

Szęść Boże, panie inżynierze!...

A potem, jakby w formie usprawiedliwienia, dodał:

— Ja tak, zboczyłem na chwilę, ale zaraz idę do roboty. Chciałem oto moją świeczkę na chwałę Boskiego imienia zaświecić, ale... ja idę... panie inżynierze!

Odchodził, ale nie sporo mu było. Z lubością patrzył na to swoje światełko, płonące na chwałę Boskiego imienia w ciemnicy podziemnej.

— Zawsze to pięknie — wyrzekł rozgadany tonem dobrego człowieka — skoro tak Panu Bogu na chwałę i my chudziaki świecimy światło. Bóg nasza jedyna pociecha i szczęście w ciężkiej pracy... Przez tę świeczkę, co święci Imię Twoje, Panie Jezu, w tej ciemności mam ukontentowanie na cały dzień pracy...

Przeżegnał się i drżącymi ze starości wargami dorzucił wpatrzony w migocący wilgociały Krzyż:

— Święć się Imię Twoje!...

Odszedł, długo słychać było jego kroki po drewnianym chodniku, aż wreszcie ścichły zupełnie.

O słup oparty stał Oskarowicz nieruchomy i wpatrzony w wianuszek świec, które płonęły

złotawo-ubogo, ale jasno, jak wiara tych prostych serc, które je do stóp Krzyża przywlokły. I echem cichem jeszcze brzmiały czarne ściany kaplicy:

— Święć się Imię Twoje!...

Bieda.

Idzie sobie babuleńka.
To zapłacze to zastęka,
To jęk z piersi wyda.
Zebrała się wnet gromada
„Ktoś ty babciu? Każdy bada
A ta rzecze: „Bieda“.

„Ledwie wlokę stare kroki —
„Bom ci przeszła świat szeroki
„Niemców i Francuzów!
„Niegościnnie te psiewiary
„Jeść nie dały babie starej,
„Jeno sporo guzów!

„A gdy proszę zmiłowania —
„Každy srogą pięść odsłania —
„Gna precz ze swych szlaków
„Więc przez chłosty i ulewy,
„Przywlekam się, moiściewy,
„Do braci — Polaków.

Inszy ludek w tej krainie
Ulitował się babinie
I nie wyszczuł psami.
„Naści stara, kiej cię boli —
Plaster na guzy, chleba, soli
I pozostań z nami“.

Zamieszkała więc babula
I po miastach hula, hula,
Lub nawiedza kmiotka
Z grzbietu zdziera mu koszulę
Albo po łbie i szkatule
Grzmoci kogo spotka.

Zgniewała się rzesza zbita:
„Idź precz więdmo, lez nie syta,
Do innego kraju!“
Zaśmiała się w odpowiedzi —
Oni krzyczą — ona siedzi:
— „Kiej mi tu jak — w raj! —

„Dobrzy ludzie tu się rodzą:
„Wszyscy wzajem sobie szkodzą!
„Mazgaj przy mazgaju.
„Polubiłam Polską grzędę
„I tu sobie mieszkac będę,
„Jak w raj, jak — w raj! —

Tak ci mówi — oni w skargi
Potem w radę, potem w targi,
Aż się lep zapoci —
Dra się, dra się, — a babula
Jak hulala, tak se hula
I Polaków grzmoci!

Najlepsze wiano.

Zmarły przed kilku laty bogacz w Odesie, który własną pracą i przemysłem doszedł do milionowego majątku taki zostawił testament.

„Wszystko, co tylko posiadam, oddaję na własność czterem moim siostrzenicom do różnego podziału. Ale wtedy dopiero otrzymają należne im części spadkowe, gdy się wykaże, że przez piętnaście miesięcy spełniały obowiązki pokojówek, praczek i kucharek przy większych gospodarstwach. Pracować będą przez 12 godzin dziennie, wyjąwszy niedziele i święta. W tych dniach mają wysłuchać Mszy św., nauki, przystąpić do komunii św. Wykonawcy mej ostatniej woli będą czuwać, aby spadkobierczynie nie tylko pracowały, ale wykazały gruntowną znajomość poleconych im obowiązków. Prowadzenie ich ma być moralne i bez zarzutu“.

Uszczęśliwione tak wielką fortuną dziewczęta natychmiast wzięły się do spełnienia woli testatora. Po odbytej nauce 863 mężczyzn zgłosiło się o ich rękę. Każdy z nich jednak otrzymał odpowiedź. „Wtedy zostaniemy waszemi żonami, gdy i wy przez 15 miesięcy podobnie żyć i pracować będziecie“.

Czy ten milionowy pan nie miał słuszności? Wszak największym błędem przy zawieraniu małżeństw jest dzisiaj najczęściej względ na majątek, na stanowisko i na urodę ciała. A błąd ten mści się potem okrutnie na małżonkach. Niejeden mąż i niejedna żona musiała go okupić całem swoim szczęściem a nie raz nawet i życiem.

Bo i cóż z bogactwa największego? Albo to nie znamy małżeństw, którym chyba ptasiego mleka brakuje, a jednak szczęścia w ich domu nie widać. Znamy i takie co tylko dwoje rąk mają do pracy, co się ubogo pobrali, a zawsze im dobrze, szczęśliwi oni i weseli.

Na cóż zresztą zda się majątek w rękę marnotrawnego męża, lub pod opieką modnie wychowanej żony? Żona wychowana modnie, co to tylko umie czytać książki i grać na fortepianie, a nie potrafi ugotować, uszyć, zacerować, to niezmiernie kosztowny sprzęt dla męża jakiegokolwiek stanowiska, ale przedewszystkiem dla rzemieślnika i robotnika. Nie ma on żony gospodyni, ale tylko towarzyszkę życia. Nieszczęśliwa rodzina, co taką matkę posiada, w jej rękach wszelki zarobek męzowski, choćby i zacny, stopnieje, jako ten śnieg na słońcu i wkrótce bieda zajrzy do takiego domu.

Ale i stanowisko najwyższe nie zmniejszą bynajmniej krzyżów, które spodobało się Bogu nawiedzić małżonków. Alboż to nie wyciska nawet królewska korona łez z oczów?

A uroda ciała? Jedna ciężka choroba, a piękność już znikła, jedno dłuższe zmartwienie, a twarz już zwiędła, jak ten kwiatusek pod wpływem palących promieni słonecznych. Zresztą z wiekiem nie przybywa urody, zmarszczki twarzy pokrywają, czolo ryją głębokie

bruzdy, a włos kruczy siwieje. Jeśli więc uroda miała być podwaliną małżeńskiego szczęścia, to gdzież owo szczęście? Jakże prawdziwie mówi Duch św.: „Omylna wdzięczność i marna piękność.“ (Przyp. 31, 30).

Jedna jest uroda, która nie przemija. Oto uroda duszy. Tą właśnie urodą starajcie się rodzice chrześcijańscy ozdobić córki i synów waszych, bo to skarb, który nie przemija.

Dzieweczka odznaczająca się pobożnością, miłością dla rodziców, uprzejmością dla sąsiadów, która dwie tylko zna drogi w swoim życiu, jedną do kościoła a drugą do pracy, taka wierzajcie mi, będzie nieomylnie najlepszą towarzyszką życia, wierną przyjaciółką, podporą w pracy i osłoda w cierpieniach. „Nie wiasta bojąca się Boga, ta będzie chwalona“.

(Przyp. 31, 30).

Wszystkim naszym czytelnikom, pragnącym wejść w związki małżeńskie, takiej żony życzę. Taka żona to skarb nieoceniony dla męża i dzieci, to najlepsze wiano.

Humorystyka.

Pyta, czy może mówić.

Parobek spadł z wysoka na biosko i woła: — Gospodarzu!

Gospodarz: — Czegóż?

— Chodźta no i spytajta: czy jeszcze mogę mówić, bom się strasznie stłukł.

* * *

Przy obiedzie.

— Walek, a ty czemu nie jesz?

— Kiedy gorące i głębię już se sparzyłem...

— No, to dmuchaj, psiajucho!

— Ba, kiedy się boję, bym nie zdmuchnął z miski...

* * *

Także różnica.

Żyd: — Chłopiec, gdzie jest twój ojciec?

Chłopak: — Tatusz sa są w świniarni. Od różnić łatwo możecie, bo ma zielony kapeluszek na głowie!

* * *

Cierpliwy mąż.

— Prawda moja kochana, gdy wypróbujesz całą książkę kucharską, to weźmiemy sobie kucharkę?

* * *

Śmiertelna zgoda.

— Panie Ganepomade, ubliżyłeś mi pan śmiertelnie.

— No, to ja pana śmiertelnie przepraszam.

* * *

Na pogrzebie naczelnika powiatu.

— Kogóż to panowie grzebiecie?

— Naszego naczelnika.

— A cóż to nikt nie płacze?

Alboż to mało napłakaliśmy się kiedy żył.